№ 33.

OPIEKUN DOMOWY

ROK VII.

Serja Druga.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu u* Budkiewicza księgarza.

Warszawa, dnia 4 (16) Sierpnia 1871 roku.

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI.

Prawdziwy humor nie unosi się nigdy obrażającą dumą i nie zużywa sił swoich przeciwko bezbronnym. Dowcip tryskający z pióra Cerwantesa w więzieniu, rozjaśniał mu ciemności lochu światłem promieni słonecznych, wodę zmieniał w nektar pełen słodyczy, — rękę zranioną płaszczem otulał i we wszystkie gorycze życia wlewał balsam nadziei. — Takiém winno być zadanie każdego prawdziwego humoru.

(*Jean Paul.*)

Zdaniem zaczerpniętém z dzieł znanego humorysty niemieckiego, rozpoczynamy życiorys artysty, którego ołówek od tak dawna zdaje się posiadać wyłączny przywiléj poruszania w nas nerwów śmiechu.

Kostrzewski jest dziś jedynym u nas humorystą. W pochwyceniu i uwydatnieniu słabostek i śmieszności wszystkich warstw naszego społeczeństwa, nikt mu nie zrównał. Uderza w nim przedewszystkiem niepospolity dar obserwacyi życiowéj, subtelne choć jednostronne odczucie prawdy danéj chwili i roskoszna swoboda, z jaką nasuwające mu się typy i sytuacye traktuje.

Dowcip jego w sercu się rodzi i dla tego właśnie tak sympatyczne obudza wrażenie. Jak każdy prawdziwy humorysta, Kostrzewski pełen jest miłości ludzi. Zapatruje się na naturę ludzką jako na zbiór dobrych i złych skłonności, widzi w ogóle więcéj błędów niż występków i spogląda na całość z uśmiechem pobłażania.—Wychodzące z pod jego ołówka typy, nie budzą nigdy wstrętu, odrazy, nienawiści lub wzgardy; raczéj nastrajają widza do lekkiéj, żartobliwéj ironii.

W rysunkach większych rozmiarów, posiada on nawet szczególną siłę wzruszania, przez artystyczne zestawienie śmieszności i powagi, rzewności i komizmu.



Franciszek Kostrzewski.

Zarzucają powszechnie Kostrzewskiemu, że bogaty swój talent zamknął w szczupłych ramach szkicowania, że pomysłom nie dozwalał rozwijać się i dojrzewać, ale je co prędzéj na papier przenosił,—że tym sposobem artystyczne zasoby jego ducha rozproszyły się na niezliczone mnóstwo drobnostek, zamiast skupić się w kilku potężniejszych kreacyach. Zarzuty te są w części tylko słuszne, jak wszystko na tym świecie. Najlepszą na nie odpowiedzią będzie krótka historya życia artysty, w zestawieniu ze stanem społeczeństawa, śród którego przeznaczoném mu było zająć wybitniejsze stanowisko.

Urodzony w 1826 roku w Warszawie, z rodziców niezamożnych, wcześnie oddanym został do szkół, po ukończeniu których miał kierować się na urzędnika. Ale rutyna i systematyczność wykładów szkolnych, nie bardzo trafiała do gustu Kostrzewskiemu.

Przez cały czas pobytu w gimnazyum należał do rzędu uczniów miernych, — co to przechodzą spokojnie z klassy do klassy, bez nagród, podziwu nauczycieli i zazdrości kolegów. Ślęczał nad książką, z niewielkiém przeświadczeniem o ważności deklinacyj i konjugacyj, a z cyframi nigdy sobie nie mógł dać rady. Za to od dzieciństwa zajmowało go silnie życie i natura. Ile razy zdarzyła się sposobność, uciekał z ołówkiem w ręku do jakiego zakątka i rysował podobizny drzew, ptaków, twarze kolegów, illustrował różne charakterystyczne sceny studenckiego życia, — czém zjednał sobie nawet pomiędzy towarzyszami wielką wziętość i sławę.

Wybitnym bardzo szczegółem z téj epoki życia artysty—był dziwny i nieprzezwyciężony jego wstręt do rysunków linearnych, które w owym czasie stanowiły ważny dział szkolnego programu. Ani groźby, ani kary niebyły w stanie zmusić go do pożądnego kreślenia regularnych jeometrycznych figur. Kwadraty i sześciany przechodziły pod ołówkiem Kostrzewskiego w dziwaczne, fantastyczne kształty. Podobno nawet rysunki linearne stały się główną przyczyną, dla któréj Kostrzewski, ukończywszy sześć klass, opuścił szkoły i więcéj już do nich nie wrócił.

W 17-ym roku życia, młody artysta po raz pierwszy znalazł się na wsi. Tęskne, zamglone krajobrazy rodzinnéj przyrody silnie podziałały na młodzieńczą jego wyobraźnią. Odczuwał już wtedy harmonią czarującego wdzięku rozlanego w tych skromnych, prostych kształtach, gdzie żaden szczegół siłą effektu wzroku nie porywa,— a przecież całość dziwnie jakoś za serce chwyta. — Talent, bez wiedzy nawet artysty, gromadził w jego duszy materyały, z których późniéj skorzystała sztuka. — Kostrzewski od świtu

zmroku biegał po polach i lasach, przypatrując się niebu, słońcu, zieleni drzew, krasie kwiatów, wzgórzom, równinom i tym serdecznym, ogorzałym twarzom ludu, które z taką prawdą odtwarzać dziś potrafi. Rok cały przepędził w takiém rozkosznem obcowaniu z ludem i naturą, podzielając uciechy chłopaków wioski, łowiąc ryby, zastawiając sidła na ptaki, wdrapując się po gniazda na drzew wierzchołki. Te świeże, gorące wrażenia, któremi poiło się wtedy uczucie artysty — odzwierciedliły się w jego duszy z siłą wspomnienia pierwszéj miłości. Ze wszystkiego cokolwiek Kostrzewski utworzył, typy i obrazki życia ludu wiejskiego, mają największą artystyczną wartość. Znać że artysta roskoszuje się w tym przedmiocie, że prawdziwe natchnienie kieruje jego ręką, w chwili gdy na płótnie odtwarza sceny, przypominające mu czarowną tkankę pierwszéj młodości wrażeń.

Po roku pobytu na wsi, Kostrzewski zajął się staraniami około ustalenia sobie losu. Stosunki i wpływy kilku znajomych, wyjednały mu posadę dietaryusza, przy zarządzie górnictwa w Suchedniowie, z płacą 150 rs. rocznie.

Niefortunny wypadek zwichnął karyerę urzędową Kostrzewskiego, w trzy dni po jéj rozpoczęciu. — Po odbyciu przedwstępnych formalności instalacyi i przedstawienia zwierzchnikom, początkujący dietaryusz otrzymał skromne miejce przy stoliku i na początek dano mu jakiś raport do przepisania. Przejęty ważnością swego zadania, Kostrzewski gorliwie zabrał się do rzeczy. Stawiał zamaszyście literę za literą, wpatrując się pilnie w oryginał. Ale powoli zaczęło go to nudzić. Ręka z piórem opadła nieruchomie, a oczy mimowoli ku sufitowi pobiegły. Dumał tak długo, nareszcie porwał znów za pióro i na marginesie raportu, w kilku śmiałych zarysach, sportretował charakterystyczny, poważnie zatabaczony.... nos jednego ze starszych urzędników.

Na nieszczęście właściciel tego nosa przechodził właśnie koło stolika, — a pragnąc osobiście przekonać się o gorliwości nowego podwładnego, zajrzał przez ramię piszącego na nieszczęśliwy raport. To, co zobaczył, przejęło go zupełném zwątpieniem o urzędowych Kostrzewskiego zdolnościach. Udzielono mu więc zaraz dymissyą.

Kiedy wrócił nieśmiały i pokorny do domu, rodzice zawiadomieni już o wszystkiém roztrząsali właśnie ważną kwestyą dalszéj przyszłości syna.

— Hultaj, widocznie do niczego! — mówił ojciec — niechże więc będzie malarzem, kiedy mu się chce rysować nosy.

Rezultatem takiego postanowienia było posłanie Kostrzewskiego do otwierającéj sią właśnie Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie.

Młody artysta nie posiadał się z radości, widząc tak niespodziane ziszczenie najdroższych swoich nadziei.

Znalazł się nagle w atmosferze pracy dla sztuki, do któréj tęsknił ciągle, nie zdając sobie nawet sprawy ze środków, za pomocą których talent jego mógłby sobie utorować drogę rozwoju.

Kostrzewski rozpoczął studia jednocześnie z otwarciem w Warszawie Szkoły Sztuk pięknych. — Pracował pod kierunkiem Kaniewskiego i Hadziewicza, z zapałem prawdziwie powołanych. Od rodziców otrzymywał tylko 6 rs. miesięcznie, a skromny ten zasób musiał mu wystarczyć na wszystkie potrzeby materyalnego życia. Duch młody, natchniony miłością sztuki, ufny w przyszłość, krzepił ciało, potęgując siły do pracy.

Dążenie do samodzielności wcześnie przejawiło się w robotach ucznia. Już na trzecim kursie Kostrzewski wymalował obraz olejny z własnego pomysłu, co kończącym dopiero całkowite studia było dozwoloném. Wyraziste zalety téj pierwszéj pracy, wyjednały adeptowi przebaczenie za wyłamanie się z pod przepisów.

Ukończywszy pięcioletni kurs, z chlubnym patentem, Kostrzewski udał się do Kielc, zaproszony przez ś. p. Tomasza Zielińskiego, znanego miłośnika i zbieracza dzieł sztuki. Zieliński, jak wiadomo, był posiadaczem najznakomitszéj w naszym kraju galeryi obrazów. Artysta przyjął chętnie zaproszenie, — pragnąc uzupełnić studia zapoznaniem się z arcydziełami mistrzów.

W Kielcach przepędził blisko cztery lata, — bawiąc się doskonale, a pracując w chwilach wolnych. — Zwolniony od konieczności zarabiania na życie i od smutnéj troski o jutro, wesoły, dowcipny z natury, stał się w krótkim czasie duszą wszystkich towarzystw.

Do dziś dnia w tém miasteczku Kostrzewski jest postacią legendową. W kółkach towarzyskich krąży mnóstwo anegdot na jego rachunek, które budzą śmiech szczery w młodszém pokoleniu.

Te kilka lat spędzonych wśród uciech i zabaw, nie pozostały bez wpływu na humorystyczny talent artysty. W małym światku prowincyonalnego miasta, błędy i śmieszności ludzkie silnie rzucają się w oczy. Materyał tam istnieje gotowy, skończony, wyrazisty. Nie potrzeba doszukiwać żywiołów komicznych; przemawiają one same do refleksyi i obserwacyi.

(Dokończenie nastąpi).

SONET.

Gdybym był gwiazdą, słońcem na niebios lazurze,
Lub ptaszyną, co buja w błękitów otchłani,
Świeciłbym dniem i nocą, śpiewał piosnki w górze,
Lecz i świecił i śpiewał tylko dla Niéj — dla Niéj.
Gdyby mnie Stwórca zmienił w lilję albo różę,
Gdybym stał się jutrzenką, co wzrok blaskiem rani,
Czy to rosnąc śród krzewin, czy też błyszcząc w górze,
Chciałbym rosnąć i błyszczéć znowu tylko . . dla Niéj.
Ze wszystkich gwiazd płonących na jasnym błękicie,
Ze wszystkich kwiatów ziemi wyszłych, z Bożéj dłoni,
Ona sama jedynie rozjaśnia mi życie,
Oświeca przyszłość gdy ta chmurą osłoniona,
Za Nią jedną drży serce; za Nią myśl ma goni..
Ona myślą i sercem, wszystkiém tylko — Ona.

Feliks Szober.

O SILE W CZŁOWIEKU.

(Dalszy ciąg).

Gdyby *siła* we właściwéj istocie swojéj, stała się w pojęciu naszém wyłączną miarą, według któréj ocenialibyśmy doniosłość dziejów powszechnego naszego tu życia, — wszystko przybrałoby inne całkiem moralne, niżeli je ma teraz, znaczenie.

Wyrazy *cnota* i *zbrodnia* znikłyby zupełnie ze słownika społecznéj moralności.

Złe i *dobre* zostałyby zaliczone do archeologicznych zabytków.

Sędziowie z krzeseł swoich przeszliby na ławy przestępców.. gdybyśmy już koniecznie tém ostatniém mianem nazywać kogokolwiek pośród siebie, chcieli.

Przestępcy zamiast do więzień, przeszliby tylko do domów *słabomyślnych* czyli waryatów.

Niejedna *cnota* dzisiejsza musiałaby się zatrzymać przed progami kościała, utraciwszy nagle prawo wejścia pod dach jego.

Poczciwość, *urzędowa* poczciwość, poszłaby się paść z owcami i baranami na łąkę.

Widmo groźne *kary*, przywdziawszy na siebie żałobną płachtę skruchy, wyniosłoby się na puszczę, dla pokutowania za popełnione grzechy — a..

osłów dopiero, *cichych* osłów napiętnowanoby, ku wielkiemu ich zdumieniu, haniebną nazwą: *wyrzutków społeczeństwa!*

I cała ludzkość dzisiejsza w miejsce klass na które się dzieli, w miejsce godności, stopni, rang i segregacyj swoich, — rozdzielilaby się tylko na dwa wielkie słoje:

silnych i *słabych*.

„Świat by się wywrócił do góry nogami!" — ktoś z konserwatystów, oburzony już naprzód zmianą taką w łonie tego, co jego zdaniem wiecznie jednakowém pozostać powinno, — zawoła.

I oburzy się bardziéj jeszcze, gdy mu odpowiemy:

Nie.

Poglądy nasze na rzeczy, jakiekolwiekby te w danym czasie być mogły, rzeczy tych wcale nie rujnują ani ich nawet nie zmieniają wcale.

Wszystko pozostaje jak jest.. jeśli jest tylko i, jeśli go sama nasza nie wytworzyła fantazya.

Więc i świat w istocie swojéj ten sam zawsze i jednakowy pozostać musi.

My możemy się tylko poglądami nań swymi, filozofując i myśląc o nim, tak lub inaczéj go odczuwając, zbliżać lub oddalać od — *prawdy*.

W czémże zaś mylnym byłby pogląd, jaki wypowiedzieliśmy wyżéj.

Czyż my, wszyscy zbiorowo ludzie, w zapasach swoich z życiem tu na ziemi, z naturą własną i z téjże ziemi naturą, — my *źli* i *dobrzy*, mierni i szczytni, szlachetni i nikczemni,—jesteśmy cóś innego, jak tylko —*słabi* i *silni*?

— „Więc prócz *boskiéj* siły są i inne siły jeszcze?“

— „Więc Bóg nie jest sam w sobie wyłączną, jedyną siłą, a jest jeszcze prócz Niego jakaś ludzka, człowiecza *moc*?“ — przychodzi nam teraz zapytać się samych siebie, z kolei.

I odpowiemy sobie: Tak.

Lew, król puszczy, król zwierząt . . ten sam lew zamknięty w klatce i wykonywający skinienia nawet, nietylko roskazy swego pogromcy — człowieka, — ten lew jest także *siłą*..

Powiedzieliśmy to już wyżéj i nie cofamy powiedzenia tego.

Nie cofamy także drugiego:

wolą lwa jest nasza wola i lwią siłą, siła nasza.

Jeśli idzie o przykłady takich silnych ludzi, to . .

i te są.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Biblioteka w ciągu tyloletniego istnienia, próbowała niekiedy czynić drobne ustępstwa, tak zwanym wymaganiom postępu — skłaniana ku temu, bądź to widokiem lepszego powodzenia w przyszłości, bądź też ostremi często uwagami krytyki. W takich to fazach pismo to przywdziewało nagle, nowe jakoby sukienki, wybladłe czoło maiło listkami — słowem, starało się wymłodnieć, ażeby taką, za pomocą kosmetyków moralnych ucharakteryzowaną fizjognomiją przynęcić ku sobie młodsze pióra, zazwyczaj odwracające się od strupieszałéj staruszki. Chcemy wierzyć, że tak działając Biblioteka, a przynajmniéj mała część jéj wydawców, pragnęła może istotnie odrodzić się w idei — lecz widocznie jakaś zatwardziała rutyna-w tak silne to pismo pochwyciła klészcze, iż po kilku chwilach szamotania się i po kilku ciężkich podrywach, — opadało ono znowu, jak chwilowo wezbrany potok, do swojego ciasnego łożyska.

To też żywioły prawdziwie młode, którym do wyżyn idei droga pilna, te młode orlęta geniuszu, którym tak pilno spróbować skrzydeł w szerokich, podniebnych przestworzach— nie dały się długo łudzić sztucznym widnokręgiem, który im w Biblotece ukazano; spostrzegły one szybko że cały horyzont tego świata w którym im żyć kazano, zawierał się w bardzo ciasnych ramach, że raczéj nawet ten świat Biblioteki był tylko salonem konwencyonalnym, o którego *rokokowe* sprzęty tak samo jak i o również zestarzałe zwyczaje, można było rozbić się, lub połamać skrzydła; że w téj sztucznéj atmosferze koteryjkowych formułek lub klauzurowego obserwantyzmu, nie można było tchu złapać często — więc tedy nie dziw, że to natchnione ptactwo, znęcone na chwilę zieloną koroną wyniosłego drzewa, ulatywało zeń trwożne, spostrzegłszy próchno w pniu samym a pod korzeniami ziemię wyniszczoną z soków.

Krótko mówiąc, Bibliotekę Warszawską toczy robak duchowego uśpienia — brak jéj téj *żywotności*, o którą domagamy się u wszystkich pism, u całej literatury tutejszéj. Była ona zawsze uosobieniem literackiego konserwatyzmu, konwencyonalności i tego duchowego zastoju, który pod pokrywką jakiejś niepojętéj, jakby w elementarzu illustrowanym, narysowanéj moralnostki — strzeże się każdego śmielszego poruszenia, każdego słówka boi — ażeby przypadkiem nie okazać znaku... życia, które jest największym grzechem u takich, śmiertelną atmosferą zakażonych organów — w literaturze jak i wszędzie zarowno. Na tém zakończając zdanie nasze o wartości Biblioteki Warszawskiéj, chcielibyśmy jednakże uniknąć zarzutu iż zbyt zamaszyście, korzystając z przywileju krytyki, unicestwiamy tyloletnią pracę ludzi, pomiędzy którymi wielu było bardzo zasłużonych w nauce, w literaturze a i w społeczeństwie nawet... Otóż, pragnęlibyśmy jasno i głośno wyrazić, że nie przeciwko indywiduom piszącym do Biblioteki lub wspierającym ją, jako osobom pojedynczym, występujemy, lecz jedynie przeciwko téj zbiorowéj osobie, zmieniającéj się w personelu, działającej gremialnie, bezmyślnie solidarnej, a i bezwiednie często — która się Redakcyą zowie. Niektórych pisarzy z tych co od początku istnienia Biblioteki zasilają to pismo swemi piórami a może i funduszem nawet, szanujemy bardzo i stawiamy wysoko — lecz nie naszą jest winą, dla czego żaden z nich nie chciał czy nie zdołał, podźwignąć tego pisma z upadku i odrodzić go w ogniu postępu, który już w krew i życie ludzkości przeszedł, a tylko do saméj Biblioteki Warszawskiéj przecisnąć się nie zdołał.

Z kolei wypada nam przeprosić także i drugi organ, choć zupełnie już różny charakterem — a poczytnością i szybkim wzrostem słynny, żeśmy z jego działalności literackiéj dotąd nie zdawali sprawy.

Mówimy tu o „Kłosach“ tygodniowém, illustrowaném piśmie, które nie oddawna istniejąc już sobie wyrobiło obszerne czytelników koło a nawet chwilowo, zagroziło było niebezpieczną konkurencyą Tygodnikowi Illustrowanemu. — Słyszeliśmy i wielu nawet, utrzymujących, że takie szybkie powodzenie, „Kłosy“ zawdzięczają wielkiéj żywotności swojéj, że w obszerne swe ramy umiały wciągnąć najrozmaitsze elementa, słowem, że zgromadziwszy zastęp zdolnych i utalentowanych nawet współpracowników, w których liczbę wchodzi przeważnie młodsze pokolenie, stały się tym sposobem prawdziwym i żywotnym organem literatury miejscowéj. Słuchając zdań takich, przypomnieliśmy sobie owych niedojrzałych pseudokrytyków, którzy stojąc przed ladajakiém lecz jaskrawém i oświetloném silnie, malowidłem, zręczny *efekt* za prawdziwy *koloryt* biorą. Wprawdzie nie przeczym że „Kłosy“, zwłaszcza też w pierwszym roku istnienia, rozwinęły wielką działalność redaktorską—że nie żałowały one ani papieru ani piór pisarzy; że zapełniały swoje szpalty najróżnorodniejszemi, rozmaitej wartości produkcyami, lecz żeby w prowadzeniu tego pisma była istotna, szerzéj pojęta *redakcya* a w idei i tendencyi prawdziwa żywotność—na to znowu wcale się zgodzić nie możemy. U nas, każdy człowiek sprytny, niekoniecznie literat, a nawet taki który o gramatyce nie posiada wyobrażenia, jeżeli tylko ma energję, zmysł spekulacyjny a nadewszystko *nervus rerum*, pieniądze — może wydawać pismo peryodyczne, czy gazetę, z większą nierównie szansą powodzenia niż najuczeńszy profesor w spółce z najsłynniejszym literatem nawet. Dla czego? bo każdy z ludzi energicznych i zasobnych w kapitał a posiadających, jak się rzekło, zmysł spekulacyjny, postara się przedewszystkiem o nadanie przedsiębierstwu swojemu, (bo tak on pismo w duchu nazywa) wzorowéj administracyi--a dołączcie do tego, że u nas, jak wszędzie zresztą, kapitał posiada urok nieprzeparty! Publiczność podbita tym urokiem, tak silnie wierzy iż pismo za pomocą kapitału tylko może być dobrze redagowane, jak że za jego pomocą przekopano międzymorze Suez i przebito górę Cenis. Ile w tém było zasługi Inżenierów, choćby genialnych nawet? o to troszczą się tylko specyaliści i mała gromadka myślących ludzi. Zresztą, każdy sobie powiada, że za pieniądze dostanie, nie tylko inżeniera i redaktorów lecz... ptasiego mleka nawet! Cóż dopiero mówić o poetach i belletrystach, wszelkiego gatunku! Toć-że takie tułacze ptactwo, całemi stadami zlatuje się na szelest bankocetli, a dźwięk sutych honorariów dobywa z nich natchnienie jak laska Mojżesza źródło ze skały. Więc tedy wszyscy wierząc że kapitał jest alfą i omegą wszech-rzeczy; że potrafi dopiąć wszystkiego, jeśli nie własnemi to najętemi siłami, ufają też lepiéj i takiemu pismu, które, nie *chudy* (jak się on u nas i słusznie dotąd zowie) literat, lecz tłusty kapitalista wydaje. Czy Kłosy założył kapitalista? nie wiemy--lecz że je wydaje i prowadzi wyborny administrator i zdolny przedsiębierca, a bynajmniéj literat, to widzimy z każdego kroku tego organu. I w nim także jak we wszystkich pismach warszawskich, nie ma prawdziwéj żywotności ani wyższéj idei — lecz jest a przynajmniéj był z początku, ruch niepospolity, gorliwy, reklamujący się głośno i śmiało, zalecający umiejętnie swój towar umysłowy. Pismo to jest bazarem rajróżnorodniejszych przedmiotów. Znajdziecie tam wszystko: i powieści sążniste, nasiąkłe okropnościami, a tłumaczone ze wszystkich języków, i wiersze efektowne, ozdobione rycinami i ryciny podwierszowane i podobizny wielkich lub małych ludzi i uczone — aż strach, jak nawet, krytyki — i dramaty oryginalne i arcydzieła literatury tragicznéj w przekładzie — słowem, od prelekcyj aż do... form na kołnierzyki modne, wszystkiego tam dostanie, jak... w sklepie braci Lesserów, naprzykład.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(*Dalszy ciąg*).

I oto nakoniec idą..... Słychać lekkie i prędkie ich kroki na wschodach. Czeczeńcy weszli naprzód do sąsiedniego pokoju na belwederze i zaczęli wyrzucać przez okno poduszki i materace, które w nim zwykle chowają dla gości. Wyrzuciwszy rzeczy, zdawało się że chcą odejść.... rzeczywiście zchodzą na dół.... Być może!... próżna nadzieja.... Znów słychać kroki na wschodach.... tylko już nie dwóch ani trzech, lecz całéj bandy. Zbliżywszy się do zamkniętych drzwi wstrząsają niemi lekko, jakby lękali się natknąć na zbrojną zasadzkę. Po krótkiéj naradzie, kilku strzela do drzwi z pistoletów.... jedna z kobiet pada zbroczona we krwi; drugie rzucają się w przeciwległą stronę.

Nakoniec, drzwi silnie popchnięte otwierają się na rozcież. Banda rabusiów zatrzymuje się na progu i.... parska głośnym śmiechem, który chyba tém można wytłumaczyć, że ich ucieszył i rozśmieszył widok kobiet i dzieci, wówczas, gdy zapewne sądzili znaleźć w tym pokoju uzbrojonych mężczyzn... Na ten niespodziewany, dziki, radośno-ironiczny śmiech, przelękłe dzieci odpowiedziały strasznym krzykiem i płaczem. Księżna Czawczawadze z dzieckiem u piersi powstaje, gotowa twarzą w twarz śmierć spotkać. Tymczasem górale zaczęli zprowadzać, dosyć zresztą ostrożnie, ze wschodów księżnę Orbeliani i resztę kobiet. Pod ciężarem wielkich i silnych czeczeńców, ciągnących za sobą kobiety, podpiłowane wschody uginają się, łamią, i wszyscy spadają na dół. Dziecko wyśliznęło się z rąk księżnéj Czawczawadze i potoczyło się na stronę; nieszczęśliwa matka widziała jak jakiś czeczeniec nastąpił na nie nogą....

Przyszedłszy naprędce do siebie, rabusie spieszą zawładnąć każdy swoją zdobyczą, widząc, że między temi kobietami są księżne za które można wziąść liczny wykup. Z drugich wschodów już nie niosą i nie wloką, ale prosto spychają wszystkich na dół.

Księżna Czawczawadze leżała na ziemi w jednéj tylko spódnicy; reszta odzienia była z niéj zdarta, a mała Lidya obok niéj w koszulce. Konie czeczeńców stały tak blizko, że co chwila mogły ją stratować. Postrzegłszy taki nieład w ubiorze księżnéj, p. Drançay rzuca się do niéj wołając: „Księżno!" Księżna podniósłszy głowę przesłała jéj w odpowiedzi dwa tylko słowa:— „Dzieci? dzieci?"— „ Marya jest na koniu,"—odrzekła guwernantka, —„a Salomea cokolwiek daléj".—

Pośpiech z jakiém p. Drançay rzuciła się do księżnéj nie uszedł baczności czeczeńców i dał im poznać że księżna musi być gospodynią domu. Słowo chansza, przechodzi z ust do ust, i wszyscy rzucają się na księżnę Czawczawadze, kłucą się o nią, krzyczą; obnażają szaszki.... wszczyna się walka... Dwaj czeczeńcy padają ranni na ziemię... w końcu księżna dostaje się temu, który pierwszy zawładnął nią w belwederze.

—„Czy ty jesteś księżna?"—pyta ją czeczeniec.

—„Tak jest"— odpowiada księżna.— „Mój syn? mój syn?"— Czeczeniec pokazał jéj dziecko, siedzące na koniu, co trochę uspokoiło nieszczęśliwą matkę.

Ubiór ciotki, staréj księżnéj Tiny, był w największym nieładzie; a przestarzałą mamkę księcia, napół nagą, przywiązano do drzewa, z którego nazajutrz tylko ludzie ją odwiązali. Obie te kobiety, jako nie mające żadnéj w oczach czeczeńców wartości, zostawiono w Cynandałach.

Rabunek rozpoczął się po całym domu; każdy zabierał co mu pod rękę wpadło. Jeden szale, drugi naczynia, brylanty, koronki. Górale jedli i kosztowali wszystko, co tylko im zdawało się że jeść można: kredę, nawet pomadę; pili bez różnicy: olejek różany i rycinowy. Jedni zabierali kawę, cukier, herbatę—drudzy zostawując kosztowne rzeczy, chwytali miedziane lichtarze i stare rękawiczki. Jakiś czeczeniec nie mogąc wpakować do torby drogich półmisków srébrnych, zgiął je wprzód i połamał, a potem schował do kieszeni. Tymczasem rabusie zaczęli dzielić między siebie i drugie porwane kobiety, a każda musiała pójść za losem, który jéj traf i okoliczności zgotowały. Kiedy czeczeńcy wdarli się na górę, księżna Orbeliani stała, jakeśmy widzieli, przy drzwiach belwederu; górale też pierwszą ją zprowadzili ze wschodów. Na belwederze jeden czeczeniec zbliżył się do niéj i chciał ją wpół ująć, lecz księżna instynktownie uchyliła się od tego niespodziewanego objęcia. Wówczas czeczeniec łamanym językiem, napół ruskim i gruzińskim oświadczył jéj, że niéma się czego lękać i może być o siebie spokojną. Ośmielona trochę temi słowy, księżna dała mu do zrozumienia, że życzy sobie żeby ją z dzieckiem nie rozłączano; ale czeczeniec nie zgodził się na to, a uciąwszy rozmowę wziął ją za rękę i zprowadził ze schodów. Z drugich schodów nie prowadził już a niósł ją na rękach i przeniosłszy przez dziedziniec, posadził na ziemi przy studni.

Tu zostawił księżnę i poszedł do towarzyszy, zabroniwszy jéj ruszać się z miéjsca, i radząc ukrywać się od drugich czeczeńców, gdyż ci, jak mówił, mogliby ją skrzywdzić. Taka względność ze strony napół dzikiego człowieka, dodała nowéj otuchy księżnie, tak, że zdecydowała się jeszcze raz go poprosić żeby jéj przynieśli syna. Czeczeniec przyrzekł i odszedł. Po niejakiéj chwili, drugi góral rzeczywiście przyniósł księżnie dziecko; ale to była mała Lidya, najmłodsza córka księżnéj Czawczawadze.

Dziewczynce przy księżnéj czeczeńcy odebrali kołderkę i zdjęli pieluszki z koronkami, które widocznie pokazały im się zanadto kosztownemi. Księżna wzięła na ręce maleńką siostrzenicę i trzymała ją dopóki znów inny góral nie przyszedł do studni i nie zabrał dziecka, mówiąc, że go potrzebuje matka, to jest, księżna Czawczawadze. Góral zaś który porwał księżnę Orbeliani długo nie wracał, zostawując ją świadkiem wszystkich scen łupiestwa i zniszczenia. Z po za swojéj studni księżna widziała jak wyprowadzili z domu, posadzili na koniu i wywieźli za bramę p. Drançay, dzieci i jednę z nianiek, widziała jak wynosili i ładowali domowe sprzęty i jak nakoniec dom podpalili.. Siostry swojéj, księżnéj Czawczawadze, którą niewiadomo dla czego uprowadzili z dziedzińca piechotą, a nie konno, jak inne kobiéty, księżna Orbeliani w zgiełku i natłoku ludzi i koni, nie mogła dostrzedz.

Kiedy już cała banda, składająca się około trzech tysięcy ludzi, dom opuściła, koléj przyszła i na księżnę Orbeliani, do któréj ten sam czeczeniec co ją wyprowadził, wrócił się z czterema towarzyszami i kazał jéj siąść na konia. I koń i siodło były wyborne, a księżna wyjechała o tyle wygodnie i spokojnie, o ile może jechać wygodnie konno kobieta, nieprzyzwyczajona do męzkiego siodła, i spokojnie — matka z rozpaczą w duszy. Ubiór księżnéj, składający się z czarnéj żałobnéj sukiennéj sukni, pozostał na niéj nietknięty.

Wązka droga którą czeczeńcy wyjechali z Cynandał, w kierunku ku rzece Kizyschewi, prowadziła do strumienia, a księżna widziała jak się paliły wyciągnięte na nią powozy księcia. Po drodze czeczeniec któremu się księżna dostała i jego nukierzy dali jéj do zrozumienia, że wiedzą kto jest, i że znali jéj męża kiedy był w niewoli u Szamila, dodając, że to był waleczny dżygit, to jest zuch, przez co zasłużył sobie na ich szacunek. Aż do przeprawy czeczeńcy jechali w nieporządku, oddzielnymi grupami. Księżna Orbeliani jadąc z tyłu za drugiemi nie mogła widziéć nikogo ze znajomych. Spuszczając się dopiero nad rzeczkę Kizyschewi postrzegła różową suknię mamki swego syna, i to ją cokolwiek uspokoiło, była bowiem pewna że z mamką jedzie i jéj mały Jerzy.

Kiedy z belwederu sprowadzili księżnę Orbeliani, a za nią i księżnę Czawczawadze, p. Drançay klęczała, zakrywając twarz rękami. Nie widząc nic co się wkoło niéj działo, słyszała tylko krzyki, płacz dzieci i t. p. Wkrótce poczuła na sobie rękę górala, z odkrytą, ogoloną głową i czerwoną twarzą, od którego rozchodziła się woń bardzo nieprzyjemna. Góral, który przelękłéj francusce wydał się potworem, poniósł ją ze schodów i zwalił się z nich z drugimi. Na dole ze wszystkich kobiet skaleczonych i napół żywych od strachu, zrywano suknie, które tylko zapewne przypadkiem zostawiono na księżnéj Orbeliani i księżniczce Baratowéj. P. Drançay też ucierpiała pod tym względem niemniéj od drugich: rabusie zdarli i z niéj odzienie, zostawując tylko koszulę, gorset i obuwie. W takim stanie wyniósłszy ją na dziedzieniec, posadzili na progu staréj praczkarni i kazali trzymać za uzdę dwa konie, nim sami nie skończyli rabunku. Biedna kobiéta zawsze lękała się koni, lecz w obecnéj chwili pojęła, że trzeba było słuchać. Wtém, jakiś góral w turbanie, (zapewne miuryd), odpędził od niéj czeczeńca, który ją przyniósł z belwederu, i postawił straż z swoich nukierów. Z tego miejsca p. Drançay nie widziała żadnéj z towarzyszek swéj niedoli, ale mogła przyjść do siebie i uporządkować swoje myśli i wrażenia. Rozpacz zamieniła się prędko na nadzieję w duszy francuski. Pierwszą jéj myślą było, jak sama potém mówiła, że wspomniawszy na starą matkę i dziesięcioletniego syna, których we Francyi zostawiła, powiedziała sobie, że potrzebuje najwięcéj trzy lata, żeby nauczyć jednego z tych potworów po francusku tyle, żeby mógł ją zrozu-

mieć i pomógł jéj wrócić do ulubionéj Francyi.— Za półtoréj niespełna godziny tenże turbanowy miuryd podszedł znów do p. Drançay, kazał jéj siąść na konia za jednym z swoich nukierów i pojechał za drugimi. Nukier, za którym p. Drançay siedziała, zalecił jéj żeby się mocno trzymała za rzemień, którym był spięty. Wkrótce przyjechał z nią nad rzeczkę Kizyschewi, przy przeprawie przez którą lekkie ubranie pani Drançay całkiem przemokło.

Za rzeką górale zatrzymali się z pół godziny i przewodnik, chcąc zapewne uchronić p. Drançay od przeziębienia, rzucił na nią burkę i dał garść mąki z kieszeni. Francuska nie przyjęła téj nędznéj, brudnéj strawy. Dalsza podróż jéj odbywała się między stadem wołów, które ciągle następowały na jéj konia. I niewygodnie było i niebezpiecznie, lecz należało znosić wszystko cierpliwie. Górale lękając się pogoni— trzymali stado przy sobie.

Wróćmy do belwederu, żeby zdać sprawę z tego co się stało z księżniczką Baratow'ą i księżną Czawczawadze.

Księżniczka Baratow'a stała na belwederze przy księżnie Orbeliani. Kiedy księżnę sprowadzili czeczeńcy ze schodów, księżniczkę wziął jakiś młody góral, lat szesnastu, czy siedemnastu, a jak można było wnosić z jego eleganckiego ubrania, należał do jednéj ze znacznych rodzin czeczeńskich. Nie ufając widocznie swojéj sile, (księżniczka była zdrowa i pełna życia, i mogła nie poddać się młodemu rabusiowi), związał jéj naprzód mocnym powrozem ręce, a potém dopiero sprowadził ze schodów. Na dziedzińcu dał jéj konia, zostawiwszy na niéj nietkniętym kosztowny ubiór gruziński, bogactwo którego więcéj zdawało się mu nakazywać uszanowania, niż wzniecać chęci do grabieży. Reszta górali, zapewne przez szczególny wzgląd dla swego młodego towarzysza — arystokraty, nie śmiała odbijać u niego branki.

Przy przejeździe w brod Ałazani, księżniczka wpadła była do wody, ale ją wyciągnęli za powrozy, którymi ręce jéj były związane i które jéj rozwiązano tylko za rzeką, w skutek rozkazu jakiegoś naiba. Tenże sam naib, na prośbę księżnéj Orbeliani, zalecił, żeby przy młodéj księżniczce znajdowały się i drugie uwięzione gruzinki, co też i było wypełnioném na całéj drodze do Pochalskiéj wieży, chociaż i młody czeczeniec ani na chwilę jéj nie odstępował. Jadąc tak za drugimi, księżniczka zbliżała się do zasadzki u góry Koncchy..

Księżna Czawczawadze, po krwawym sporze o nią rabusiów, (za księżnę bowiem, jako za gospodynią domu, chanszę, jak ją nazywali, spodziewali się wziąść największy okup) — znowu dostała się pierwszemu góralowi, który wziął ją w belwederze, takiemuż samemu turbanowemu miurydowi, jak ten co zabrał księżnę Orbeliani. Pierwszym skutkiem walki było to, że na księżnie nie zostało prawie żadnego odzienia. Muślinową suknię zdarli z niéj kawałami, za suknią poszła i reszta ubrania, tak, że księżna jak i pani Drançay, została tylko przy gorsecie i bieliznie. Wtém, z głowy księżnéj wypadł grzebień, i piękne, długie jéj włosy przykryły piersi jéj i ramiona, jakby jaką mantyllą. Miuryd któremu księżna się dostała, zostawił ją z początku w zrabowanéj garderobie, a sam poszedł do dalszych pokoi dla rabunku. Tu księżna zatraciwszy w zamięszaniu jeden ranny swój trzewik, nastąpiła na gwóźdź i zraniła sobie mocno nogę. Po kilku chwilach miuryd wrócił i wyprowadził ją na dziedziniec, kazał usiąść na ziemi, postawiwszy w koło kilka koni, żeby swoję zdobycz ukryć przed wzrokiem zazdrosnych towarzyszy. Postrzegłszy na niéj piękne brylantowe zausznice, góral chciał wyrwać je z jéj uszu, ale księżna dobywając ostatek sił, odepchnęła go, objaśniając przytém jak mogła, że odda mu je dobrowolnie, jeżeli przyniesie jéj dziecko. Góral poszedł i wkrótce przyniósł księżnie małą Lidyą, którą wziął z rąk księżnéj Orbeliani. Na dziecku była już tylko koszulka... ale radość matki była nie do opisania, i księżna chętnie oddała zausznice góralowi.

Wkrótce górale przyprowadzili tłumacza, mówiącego po rusku, i zapytali księżnę, czy nie ma gdzie schowanych pieniędzy? Księżna odpowiedziała, że nic nie ma ukrytego: „szukajcie“, rzekła „nikt wam nie przeszkadza“, a co znajdziecie nikt od was tego nie odbierze.

„Gdzie mąż twój?“ pytali daléj górale.

— „On jako wojskowy,na służbie, a gdzie się obecnie znajduje, sama nie wiém“, — odrzekła księżna.

Prosiła następnie, żeby do niéj przyprowadzili jeszcze czworo jéj dzieci. Górale nie wierzyli, żeby taka młoda kobieta miała już pięcioro dzieci, poszli jednak i przyprowadzili troje. Najstarszéj Salomei nie mogli znaleźć. Księżna poprosiła także żeby jéj dali pić. Wodę podali w skrzynce kokosowéj, która stała zawsze na stoliku w bawialném pokoju. Kiedy księżna podnosiła do ust szczególniéjszy ten kubek,górale postrzegli u niéj na rękach obrączkę i pierścionki, i natychmiast zdarli je z palców, razem ze ślubną obrączką, tak zręcznie, że miuryd który zawładał był księżną, nie zauważy téj kradzieży. Wkrótce zabrali wszystkie dzieci księżnéj, prócz Lidyi, jako będącéj przy piersi, oświadczywszy przez tegoż tłumacza, że będą całe, że je zaprowadzą do Szamila, a więc może być zupełnie o nie spokojną. Zapewnienie to, w rzeczy samej, uspokoiło cokolwiek księżnę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

— I sądzisz że ja bym to zrobił. Zdaje mi się, panno Sybillo że ci czasem kaprysy do głowy przychodzą. Podejrzywam, że prawem życia dla ciebie jest zadowolenie tych kaprysów. Sposób życia jaki prowadzisz podobny jest do życia motyla. Rano i wieczór w ogrodzie, lub oparłszy się w oknie marzysz w spółświetle wieczora. I tak z dnia na dzień — co?

Sybilla spojrzała nań ze zdziwieniem. Czy nowy jéj stryj chce objąć opróżniony obowiązek panny Glyn i wynajdywać w niéj wady, lub perorować tak jak pani Mush?

Stryj Edward rozśmiał się, potrząsnął rudawą swoją grzywą i spojrzał jéj w oczy.

— Widzę że zdziwiła cię moja śmiałość, panno Sybillo, ale— dodał, przyzwyczaisz się do niéj.

Mówił tak spokojnie, że Sybilla zmięszała się jeszcze bardziéj. Miała wielkie wyobrażenie o swojéj godności, ale widocznie stryj żadnego o tém nie miał wyobrażenia.

— No, rzekł wesoło, panno Sybillo, wyspowiadajno się z tego życia motyla. Nie uczysz się, nie szyjesz, a nawet nie czytasz systematycznie. Kręcisz się tylko po domu, po klasztorze, po ogrodzie, od rana do nocy.

— Tylko co opuściłam pensyą, — poważnie odpowiedziała Sybilla — a zatém nie potrzebuję się uczyć.

— Ach, — prawda!

I dziwny błysk mignął w jego oczach — coś, co przypomniało Sybilli panią Mush.

— Nie lubię robót igłą — mówiła daléj.

— To otwarcie powiedziano.

— A do systematycznego czytania nie mam czasu, — rzekła, z najzupełniejszą powagą.

Stryj razśmiał się tak, iż aż się wziął za boki, a śmiech jego jakkolwiek nie chałaśliwy, odpowiedni był jednak jego wzrostowi i szerokim plecom. Był to śmiech szczery i swobodny. Sybilla zaczerwieniła się z oburzenia.

— Daj pokój, moja siostrzenico, — rzekł, przestawszy się śmiać — nie spoglądaj tak poważnie, bo, jeżeli ci mam powiedzieć prawdę, ojciec twój wczoraj wieczór zażądał odemnie otwartego zdania o tobie, czułem się więc obowiązany je złożyć. Następnie prosił mnie abym zajął się tobą; gotów jestem to zrobić i dla tego nie dziw się iż wolne chwile poświęcam na maleńki z tobą egzamin.

Twarz Sybilli przedłużyła się znacznie po tych wyrazach stryja.

— Widzisz — mówił daléj łagodnie, choć z pewnym odcieniem sarkazmu, niemiłym Sybilli, — jesteś lub masz się za chodzącą poezyą, — a ja jestem prozą od stóp do głów; niemiłosierną, twardą prozą.

I wyglądał na prozę: surową, potężną i jak sam mówił, niemiłosierną. Kilka kwiatów fantazyi kwitło na tym pniu olbrzymim; kilka poważnych myśli płynęło z tego jasnego, pełnego siły umysłu, ale nie górowało nad nim. Dobroć, wspaniałość, szlachetność, czuć było patrząc na niego, lub słuchając go; ale brak jakiś uczuwała Sybilla i brak ten przestraszał ją. On nie widział, lub też nie-

chciał widzieć tego. Poprosił ją aby usiadła na ławeczce przed domem. Usiadł obok niéj i zaczął ją badać co umie i jak umie. Surowa to była próba, podczas której wyglądali razem jak olbrzym i rusałka, z czasów, w których jeszcze były na świecie takie istoty. Biednéj rusałce szło niebardzo gładko, bo chociaż olbrzym był żartobliwym, żartował jak olbrzym, to jest, trochę niebezpiecznie. Nawet dobroć jego była nieostrożna i często bezwiednie okrutna. Śmiał się z Sybilli, która tego znosić nie mogła, i dowodził jéj, uważającéj się za skończoną damę, że wszystkiego zna potroszę a nic nie umie. Nareszcie wyprowadziło ją to z granic cierpliwości.

— O, mój panie, rzekła opryskliwie, to bardzo nudna rzecz. Każdy chce mnie poprawiać. Gdybym się wzięła do poprawiania innych, wielebym i u nich błędów znaleść mogła.

— I ja tak sądzę. Nie wątpię iż we mnie pierwszym dużobyś do poprawienia znalazła.

Sybilla milczała, ale wzrok jéj mówił: rozumie się, że mogłabym znaleść.

— Przedewszystkiem jednak, moje dziecię, musisz sama siebie poprawiać i kształcić. Takie jest życzenie ojca.

— Ależ ja nie potrzebuję być ani literatką, ani guwernantką, ani szwaczką. Ja nie potrzebuję pracować.

— I sądzisz że daleko przyjemniéj nic nie robić?

Łzy pokazały się w oczach Sybilli. Przez pychę powstrzymywała je, ale kosztowało ją to dużo pracy.

— Ja nie próżnuję; zawsze czémś jestem zajęta.

— Tak, jest to jakaś czynność bez celu i pożytku.

Sybilla zarumieniła się z oburzenia. Szczęściem w téj chwili zjawił się Kennedy, z listem otwartym w ręku.

— Nowiny dla Sybilli, rzekł wesoło. Pani Ronald wydaje bal w przyszłym tygodniu i ciebie zaprasza.

Rozjaśniła się twarz Sybilli — oczy jéj zabłysły.

— O, drogi ojcze! zawołała, klaszcząc w ręce i skacząc wesoło. Nigdy jeszcze nie byłam na prawdziwym balu.

— Ha, na każdą rzecz czas przychodzi.

— Ale jak się ubiorę? zapytała Sybilla, spoglądając w wielkiém zakłopotaniu, to na ojca, to na stryja.

— Edward najlepiéj ci doradzi — powiedział Kennedy — ja nie bywam na balach, a on bywa.

— Ale na ten pójdziesz?

— Tak, żeby ciebie wprowadzić. Edwardzie, powiedzże jéj jak ma się ubrać; ja nie mam czasu.

Odszedł, zostawiwszy Sybillę mocno niezadowoloną, że wkwestyi ubrania ma się odnosić do swego wszystko przyganiającego stryja.

Stryj jéj jednakże zdawał się być ze wszystkiém obeznany. Zmierzywszy Sybillę oczami, powiedział.

Trzebaby ci Sybillo wziąść suknię różową, —jaką lekką tkaninę i ubrać ją różami.

Sybilla wiedziała że jéj różowy kolor do twarzy, a róże bardzo lubiła. Zaczynała wierzyć iż stryj jéj ma dużo zdrowego sądu o rzeczach, gdy nagle wykrzyknęła przerażona:

— Nie mam ani różowéj sukni, ani pieniędzy!

— O, co za szkoda że list już odszedł.

— Wcale nie szkoda. Mam białą suknię, w której mi będzie bardzo dobrze, a róż wszędzie dostanę. Tylko czy mi będą do twarzy.

— Pozwól zobaczyć.

I spojrzał jéj w twarz z uśmiechem pełnym dobroci i uznania jéj wdzięków. Sybilla zarumieniła się.

— Przyroda obdarzyła cię pięknemi różami, rzekł; zachowajże je długo — bardzo długo.

Sybilla roześmiała się swawolnie. Pewna była że zachowa swoje przyrodzone róże. Czas nie liczył się u niéj; była to jakaś nieokreślona abstrakcya, o którą młodość się nie troszczy.

— W przyszłym tygodniu! rzekła. Muszę się więc zaraz zająć przygotowaniami, prawda?

— Tak, *tém* zajmij się energicznie.

Sybilla nie zwróciła uwagi na wyrzut jaki się zawierał w odpowiedzi stryja. Miała iść na bal i spiesznie się do tego sposobić.

— Dowidzenia, stryju, rzekła żwawo i pobiegła do swego pokoiku.

ROZDZIAŁ VIII.

Tydzień przysposobień do balu nie przysporzył przyjaźni między stryjem a siostrzenicą. Brat pana Kennedego prowadził daléj egzamin, który wypadał tak niepomyślnie pod względem gruntowności umysłowego ukształcenia Sybilli, a stryj tak otwarcie wyrażał swoje zdanie w tym względzie, iż zaniepokoił ojca i obraził córkę. Gdy w wieczór przed balem, Sybilla ustroiwszy się, zeszła do biblioteki, spodziewając się zastać ojca, znalazła tam na wielkie swoje zmartwienie, stryja samego. Nie będąc objęty zaproszeniem pani Ronald, siedział i pisał. Na szelest otwierających się drzwi podniósł głowę, spojrzał na Sybillę stojącą w progu i zapytał z uśmiechem:

— Boisz się mnie, Sybillo?

W odpowiedzi postąpiła naprzód z powagą, która go wiele ubawiła. Obejrzał ją od stóp do głów, ale nie rzekł ani słowa. Sybilla wachlując się zapytała niecierpliwie:

— Czy dobrze jestem ubrana?

— Ujdzie.

Sybilla była dobrze ubrana i wiedziała o tém. Miała białą muślinową suknię, przybraną kosztownemi koronkami, odziedziczonemi po matce, a pyszne róże kraśniały na jéj piersiach i wieńcem okalały głowę.

— Ujdzie! powtórzyła z oburzeniem, — a to muślin indyjski, koronki są przepyszne, a róże kosztują po pięć franków jedna, powiada ojciec, a . . .

— A ja wszystkie serca podbiję dziś wieczór, — wtrącił stryj.

Sybilla zarumieniła się nieco.

— Nie potrzebuję podbijać serc, — odpowiedziała; ale lubię być dobrze ubraną i podobać się.

— To słusznie, Sybillo.

— Wiem że nie podobam się stryjowi, rzekła, z lekkiém zadąsaniem — ale podobam się innym.

— Moje dziecię, stryjowie nie uwielbiają swoich siostrzenic— zazwyczaj.

Łzy zabłysły w oczach Sybilli.

— Ojciec mnie uwielbia — powiedziała — nie iżbym na to zasługiwała, ale dla tego że mnie kocha.

Stryj spojrzał na nią, jakby zapytując: A zatém?

— A zatém przykro mi gdy widzę że stryj mnie nie kocha.

— Doprawdy! odpowiedział.

— Tak, doprawdy; przykro jest mieć jednego stryja, i to nie kochającego.

— Mogęż się zapytać, co doprowadziło do tego wniosku?

— Stryj zawsze mnie gani — zawsze cenzoruje, zawsze wynajduje błędy, odrzekła, — czyżby robił to gdyby mnie kochał?

— Sybillo, daję ci niewątpliwe dowody przyjaźni i szczerego kochania. Masz błędy które cię psują, a szkoda cię, bo jesteś dobra. Siadaj tu i słuchaj mnie. Masz lat siedemnaście — to znaczy żeś bardzo młoda, — jesteś także i bardzo ładna, bardzo miła i zgrabna, ale —

Nie miał czasu dokończyć. Siostrzenica zarzuciła mu ramiona na szyję i ściskając go z wdzięcznością zawołała:

— Drogi, dobry stryjaszku, jakżem ja cię skrzywdziła! Ja myślałam że mnie nie cierpisz i prawie nie cierpiałam cię nawzajem. O, jakżem się myliła!

— Dość, dość tego, — rzekł, łagodnie ją odpychając, — nie wysłuchałaś mnie całkowicie.

— O, teraz mnie będziesz ganił.

— A tak. Chcę ci powiedzieć że przy tych pięknych przymiotach, masz niektóre wady. Jesteś próżną, popędliwą i lekkomyślną, Sybillo.

— Dziękuję— krzyknęła Sybilla, zrywając się od niego z nagłym gniewem. — Mocno obowiązana stryjowi — i wybiegła z pokoju.

Sybilla tak się czuła dotkniętą, iż ledwie mogła łzy powstrzymać; ale ochłonęła, jadąc z ojcem do domu pani Roland. Był to pierwszy bal na którym miała wystąpić, a wypadek ten, tak ważny dla niéj, nie był bez znaczenia i dla pani Roland. Ażeby to wyjaśnić, musimy podać niektóre szczegóły dotyczące małego kółka, téj pani, do którego teraz wchodziła Sybilla.

Wesołe brzegi Francyi oddawna były nawiedzane przez rodziny angielskie, osiedlające się tam, bądź przez oszczędność, bądź dla rozmaitości, bądź dla bezpiecznego usunięcia się z rodzinnéj strony. Szczęściem małe miasteczko Saint-Vincent nie miało wcale angielkich rezydentów z tej ostatniéj klassy. Przybywali do nowéj ojczyzny, ale nie potrzebali w dawnéj spuszczać ze wstydem głowy. Pani Ronald była jedną z najdawniejszych rezydentek angielskich w Saint - Vincent. Była bogatą w tém tanięm ustroniu, a ponieważ wydawała dobre obiady i wesołe bale, była zatém i popularną. Od pierwszych chwil pobytu, główną ambicyą téj zacnéj pani było pojednanie Francyi i Anglii. Ale niestety! niełatwą to było rzeczą nawet w Saint-Vincent. Francuzi mieszkający na prowincyi, to rasa zazdrosna i zamknięta w sobie, a w tym kącie zacho-

dnim kraju, bardziéj jeszcze niż gdzieindziéj. Nie podobał im się napływ Anglików, a niechęć swoję okazywali upartą oziębłością i trzymaniem ich zdaleka. Nie chcieli wdawać się z cudzoziemcami, tak, że nawet neutralne terytorium kasyna przedstawiało dwa obozy, nie nieprzyjacielskie wprawdzie, ale też nie cechujące się przyjaźnią. Na balach składkowych, w sezonie kąpieli morskich, Francya tańczyła po jednéj stronie, Anglia po drugiéj. Pani Ronald pragnęła temu koniec położyć, i wejść w stosunki zarówno z Francuzami jak i z Anglikami.

Lata jednak mijały, a cel ten był ciągle daleki, aż nareszcie Oparztność jéj dopomogła.

Jakaś staruszka Francuska upadła przed domem pani Ronald; podniesiono ją, wniesiono do mieszkania i podejmowano gościnnie. Staruszka ta dla widoków pani Ronald okazała się tak pożyteczną jak wróżki w starych klechdach; chociaż bowiem uboga była i dość ograniczona, miała potężne stosunki, i że tak powiemy, w dłoni trzymała całe miasteczko. Przyjemnie jéj było wywdzięczyć się swojéj dobrodziejce; może także było jéj przyjemnie bywać od czasu do czasu na samych obiadach pani Ronald, dość, że z całą gorliwością poświęcała się jéj usługom i najupartszych nawet skłoniła do przyjęcia wizyty téj cudzoziemki i oddania jéj następnie. Pani Ronald była z rodzaju tych zręcznych kobiet, którym dość za nitkę chwycić, aby dojść do całego motka. Utrzymała też i rozwijała ciągle swoje stosunki, choć już oddawna trawa porosła na grobie jéj opiekunki. Lecz wpływ jéj nie doprowadzał nigdy do zjednoczenia się jéj francuskich i angielskich przyjaciół. Wydawała obiady, na których Anglicy mówili po angielsku, a Franzuzi po francusku; wydawała bale na ktorych zawsze brak był albo angielskich tancerzy, albo panien francuskich. Te ciągłe zawody nie zniechęciły pani Ronald. Cel jéj był szlachetny i filantropijny. Uważała się za ogniwo wiążące dwa narody i liczyła ciągle na dobroć swojéj sprawy. Raz jeszcze Opatrzność przyszła jéj na pomoc i usprawiedliwiła jéj zaufanie.

Kasyno spaliło się i dla braku funduszu nie mogło być odbudowane. Serce pani Ronald zadrżało z radości, gdy się o tym braku dowiedziała. Mieszkała w starym zamku, z obszernymi salonami. Należała do szczupłéj liczby osób mogących wydać wielki bal. Tancerze bardzo liczni z jednéj i drugiéj strony, byli na jéj łasce. Nie potrzebowała robić zabiegów; wysyłała też zaproszenia wtedy tylko, gdy wiedziała że będą z radością przyjęte. Jak się spodziewała, przebiegła ta kobieta, tak się też stało. Wszyscy zaproszeni przybyli; ale też na tém koniec: salony były przepełnione, lecz brak było ożywienia. Na ten to bal zaproszoną została Sybilla.

Późno już było dosyć, gdy kareta pana Kennedy wjechała w żwirową aleję, prowadzącą do starego zamku, rezydencyi pani Ronald. Wszystkie okna mocném błyszczały światłem, a cichy księżyc płynął spokojnie po nad poobcinanemi cisami staroświeckiego ogrodu, po obu stronach zamku.

— Pewna jestem że się będę bawiła — zawołała Sybilla. — Słyszysz ojcze muzykę? O, gdyby tu teraz Blanka była.

— Sybillo, twój mąż będzie kiedyś zazdrosny o pannę Cains.

— Mój mąż! któż to taki, zapytała Sybilla. — Jak on wygląda?

Kennedy uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Sybilla trochę się zaniepokoiła. Przecie ojciec nie myśli o wydaniu jéj za mąż! Na twarzy jéj wystąpiły lekkie rumieńce, czarne oczy nabrały głębokiego, dziwnego wyrazu i nie straciły go nawet i wtedy gdy wchodziła do sali balowéj. Z tém wszystkiem wyglądała tak ładnie, że powitały ją zewsząd spojrzenia pełne podziwu i szmer uwielbienia.

— Sybillo, jesteś najładniejszą ze wszystkich panien tu obecnych — szepnął jéj ojciec.

Sybilla zarumieniła się, spojrzała na około trwożliwém okiem i spostrzegła — że tak było wistocie.

Zdarzyło się właśnie, że mało było ładnych panien Angielek i Francuzek w Saint-Vincent, i że żadna z obecnych ani pięknością ani wdziękiem ułożenia nie mogła iść w porownanie z Sybillą. Nadto, żadna nie miała podobnych jéj oczu, tak pełnych wyrazu, słodyczy i blasku — oczu, któreby mogły zbawić nawet twarz nieładną i nadać jéj pewne cechy piękności.

W pięć minut po wejściu Sybilla została królową balu, a nim kwadrans minął niejeden niewierny rycerz porzucił swoje wassalstwo i przyszedł składać hołdy u nóg téj pięknéj, młodéj bohaterki. Gdy tańczyła, tłumy jéj się przypatrywały, gdy odpoczywała, zbierał się znowu tłum mężczyzn pragnących ją zamówić do tańca — lub przynajmniéj schwytać spojrzenie, uśmiech, lub kilka słówek.

Oczy Kennedego błyszczały z radości. Pewny był wprawdzie że Sybilla będzie miała powodzenie w małém towarzystwie Saint-Vincent, gdzie każde pojawienie się nowéj postaci było szczególnym wypadkiem, ala nie rachował na tak stanowczy tryumf. Sybilla, jakkolwiek zmięszana z początku swojém powodzeniem, przyzwyczaiła się jednak doń wkrótce. Jéj ożywione lica i jaśniejące oczy, świadczyły o wewnętrznéma zadowoleniu. Wprawdzie nie wynosiła się ponad pokonane rywalki, ale nie mogła oprzeć się uczuciu radości z zwycięztwa, zapominając o przykrości i upokorzeniu które bezwiednie innym sprawiała.

Pani Ronald nie wiedziała co myśleć o niespodzianym zwrocie jaki przybycie Sybilli nadało balowi. Wprawdzie ożywił się, ale takie ożywienie było i niebezpieczne i niezabawne, gdyż sala balowa stała się polem bitwy, na którém dwie strony walczyły o zwycięstwo.

— Kochana pani Ronald — szepnęła pani de Lonville — kto to jest?

Pani de Lonville lubiła zajmować się interesami swoich sąsiadów, tak jakby te były jéj własne. Obawiali się też jéj sąsiedzi zarówno Anglicy jak Francuzi. Pani Ronald zawsze przez grzeczność „zasięgała jéj zdania“ przez grzeczność też dała jéj teraz żądane informacye.

Małe, okrągłe oczki pani de Lonville błyszczały z zajęcia:

— Ładna i bogata, ale nie familjantka, hm? Niedawno odwiedzał ich jakiś ordynarny Anglik, pamiętasz pani?

Pani Ronald upewniła że nic nie wie o familii Kennedego, ani o jego gościach. Kiwnęła głową z wyrazem domyślności i podsunęła się ku Sybilli, starając się wejść z nią w rozmowę.

— Jeżeli ją wyswata za którego z tych kawalerów — myślała pani Ronald, — żadna pewno mi tego nie daruje.

Musimy nadmienić, iż pani de Lonville oddawna lubiła dziewosłębić.

— Kochana pani Ronald — rzekł pan Grafton Wilkes, kawaler średnich lat, który zamieszkał w Saint-Vincent, po burzliwie spędzonéj młodości w wielkim świecie londyńskim, — publiczne należą się pani dzięki, za wynalezienie téj czarującéj panienki. Nie jest to pięknością, ale —

Pan Grafton Wilkes poszedł, połknąwszy resztę zdania.

— Dobra, pani Ronald, co to za młoda kokietka? — szepnęła pani Recinie, któréj trzy córki siedziały zaniedbane i smutne,— patrz jak tańczy z tym francuzem, jakby z narzeczonym. Powiadam ci że nie mogę znieść téj twarzy. Ten gminny jakiś Smith to był ich kuzyn. Podobna nawet do niego.

Biedna Sybilla tańczyła naówczas z wcale przystojnym młodym człowiekiem i uśmiechała się z wdziękiem na jego pochlebne słowa. A obok stała blada, ładna panna i patrzała na nich z bólem w sercu. Wciągu pół godziny dwadzieścia podobnych zdań jak powyższe wysłuchała pani Ronald. Zaczęła się seryo niepokoić: — *entente cordiale*, pogodzenie, którego spełnienia oczekiwała od tak dawna, może runąć, ale tylko dla tego, że Sybilla była ładna, i że wszystkich w około siebie gromadziła. Wolałaby nigdy jéj nie zapraszać. Na jéj rosnący tryumf patrzała z rosnącą niechęcią. Jedna rzecz pewną tylko była: mężczyzni, byli za Sybillą, kobiety—przeciw niéj. A ponieważ w świecie towarzyskim kobiety mają panowanie, otóż jeżeli te, zarówno Francuski jak Angielki, zawyrokują, iż należy nieroztropność pani Ronald ukarać i nieprzyjść na bal następny, to kara ta nieochybnie nastąpi.

— Nie uniknę tego, z pewnością nie uniknę, — myślała pani Ronald, z boleścią w duszy.

— Cóż to za miłe odkrycie zrobiłaś pani, wyszukawszy tę piękną osóbkę — odezwał się wesoły głosik, tuż obok pani Ronald.

Była to pani Brunton, sama ani młoda ani ładna, ale mająca twarz wesołą i sympatyczną. Pan Brunton, na którego ramieniu właśnie była oparta, miał jeszcze weselszą minę niż jego żona, jeżeli to być może. Zgadzali się też ze sobą, lubiąc towarzystwo, młodzież i ładne twarzyczki.

— Zdaje mi się że zupełnie tak ładna jak twoja pierwsza żona, — mówiła daléj pani Brunton, zwracając się do męża; była bowiem jego drugą żoną, tak jak on był jéj drugim mężem.

— Rzeczywiście, jest tak ładna — odpowiedział Brunton — Biedny Alfred zwykle mawiał, pamiętasz, że pani Brunton to pączek róży.

— Nie, nie pączek róży — przerwała pani Brunton, któréj pierwszy małżonek był owym „biednym Alfredem“ — ale róża bez ciernia.

— Ach, tak, róża bez ciernia. Pani nie znała Alfreda, pani Ronald? Biedny Alfred Smith, dobry, zacny, szlachetny przyjaciel. Zdaje mi się że nigdy równego mu nie spotkałem.

— Wistocie! — rzekła pani Ronald, która z przykrością ujrzała że Sybilla zrobiła nowe zawojowanie — bogatego kawalera, na którego zarzucały sieci wszystkie albiońskie dziewice w Saint-Vincent.

Pani Brunton, która przy wesołym humorze miała także dużo przebiegłości, widziała co się święci i potrząsnęła głową.

— Och, rzekła, ta mała Irlandka niejedno serce zasmuci nim jeszcze noc przeminie.

— Boję się tego — odpowiedziała pani Ronald; i prawdę powiedziawszy... tu lekkie kasłanie po za nią przerwało jéj słowa. Pani Ronald obejrzała się i spostrzegła swoję pannę do towarzystwa, Miss Spencer, która jéj szepnęła:

— Przyjaciel pana Kennedego ma do niego pilny interes i panna Kennedy musi odjechać jak tylko skończy się kontredans.

Pani Ronald spojrzała na nią z wielkiém zajęciem.

— Czy to ten pan Smith powrócił? zapytała pocichu.

— Nie, to jakiś przystojny i przyzwoicie wyglądający mężczyzna.

— Nie wręczył lokajowi biletu wizytowego?

— Nie, kazał się oznajmieć jako przyjaciel Kennedego.

Pani Ronald wydało się to dziwném, i poleciwszy pannie Spencer odszukać Kennedego w sali gdzie grano w karty, sama poszła do Sybilli i zawiadomiła ją o dziwném poselstwie.

Promienięjąca twarz Sybilli pokryła się chmurami.

— Robi mi to naumyślnie, zawoła gwałtownie, — powiem mu to.

Zastosowała się jednak do wezwania Pani Ronald, która z ciekawości odprowadziła ją aż na schody.

— Bardzo brzydko, mój stryju, zawołała, podczas gdy stryj Edward posunął się kilka kroków naprzód i skłonił pani Ronald, niezmiernie zdziwionéj wyrazem „stryju“. Trudno bowiem było znaleść dwóch ludzi bardziéj niepodobnych do siebie, jak Kennedy i brat jego.

— Tak, Sybillo, masz racyą, rzekł wesoło jéj ojciec.

Żwawo przeprosił panią Ronald, wziął córkę pod rękę i siadając do karety, zapytał niespokojnym głosem, który mocno kontrastował z poprzednią wesołością...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

WIĄZANKA.

Jutro, będzie oktawa dnia w którym, według naukowych danych, największa liczba gwiazd na horyzoncie Warszawy, spadała przez noc całą. Ponieważ noce były wówczas bardzo pogodne, co się nocom warszawskim dość rzadko zdarza, przeto wiele osób, posiadających już z natury silniejsze inklinacye astronomiczne, obserwowało do późna, na różnych punktach, ten deszcz złocisty. Rozumie się, że takie niezwykłe, fantastyczne widowisko, najbardziéj zapewne przypadało do gustu platonicznym kochankom, którzy zawsze, od początku świata, a raczéj od urodzenia się małego bożka Amorka, aż po dzień dzisiejszy, zawsze tam jakieś z księżycem i gwiazdami prowadzili konszachty. To też w obiedwie noce, z środy na czwartek i z czwartku na piątek, można było obserwować wiele tych rozkochanych planet, patrzących z balkonów lub z okien na... gwiazdy, które spadając, tak jak ich marzenia, długie po niebie zakreślały smugi! W każdym razie, taki doroczny deszcz gwiaździsty, nie jest niebezpiecznym dla mieszkańców ziemi,—to nie tak jak np. ów grad, spadły niedawno (d. 18 Lipca) w Taganrogu, a którego najokazalsze bryły ważyły po 20 funtów! Co do nas, którzy i gwiazd upadłych i tak wielkich brył gradowych nie obserwowaliśmy wcale — wolimy wam powiedzieć jakąś wiadomość pożyteczniejszą, choć mniéj efektowną—choćby tylko, że po skończeniu, tak zwanych, wizyt jeneralnych w ochronach tutejszych, co miało miejsce w zaprzeszły poniedziałek, i po obliczeniu uczęszczających do tych zakładów dzieci, okazało się, że do 17-tu ochron, w epoce wizyt jeneralnych, chodziło ogółem 1,903 uczniów i uczennic. Nie jest to cyfra zbyt wielka, zawsze jednak dość już znacząca. Jest nadzieja, że z czasem, gdy rodzice ubogiego stanu w większéj liczbie nabędą przekonania, że tylko sama nauka może i moralną korzyść i byt materyalny ich dzieciom zapewnić—to chętniéj i liczniéj wysyłać będą do Ochron te swoje gwiazdki, także najczęściéj na upadek przeznaczone!

Tak zwana „publiczność teatralna“ w Warszawie, czyli pewna część osób, które, mniéj więcéj, stale i ciągle do teatrów chodzą, ilekroć zwłaszcza pojawi się tam coś nowego—nie może się uspokoić po wysłuchaniu kilkakrotnie już przedstawionéj komedyj Beaumarchais'go, którą obecnie, na scenie letniego teatru wznowiono. Największa liczba téj publiczności, przyjęła wznowione arcydzieło... szerokiém ziewaniem; część znowu, z zimną sympatją, a najmniéj liczna, rozumie się, złożona z samego kremu inteligencyi Warszawskiéj, z jakimś widocznie forsownym zapałem. Najciekawsze jednak miny mieli krytycy teatralni, których obecnie wielka rozmnożyła się liczba, potrzebna do obsłużenia tylu pism peryodycznych, panowie ci wiedzieli że na nich patrzą, a sądząc że „*publica vulgaris*“ z myślących fizyognomij tych illuminarzy Warszawskiego areopagu, czyta wrażenia, ażeby według nich kierować własne, nieświadome w sztuce zdanie—przybierali też najpocieszniejsze fizyognomie, w których, my przynajmniéj, spostrzegliśmy, jeden tylko, lecz za to głównie przeważający wyraz... Słowem, wznowione „Wesele Figara“ nie zrobiło furory— ba! boć to tak różne formą i treścią od nowoczesnych arcydzieł, jak np. „Gavaut, Minard i spółka, „Gwóźdź w zamku“ lub „Czuła struna“. Biedny, stary Beaumarchais! pójdzie zapewne znowu raz jeszcze odpocząć na półkach Bibljoteki teatralnéj, nie mogąc dotrzymać placu w obec tak niebezpiecznych rywali... Za to, inna znów „majowa“ część publiczności, czyli mająca zawsze zielone o sztuce pojęcia, cieszyła się wielce na przedstawieniu nowéj, czyli podobno przerobionéj z francuskiego pomysłu, komedyi (cieniu Moliera! przebacz nam użycie tego tytułu), pod ożywiającym tytułem „Co za szansa“! Komedję tę przerobił z tak głębokiego pomysłu p. T. Lebrun, a teatrzyk w Tivoli przedstawił ją na swojéj malowniczéj scenie. Wprawdzie, na scenach takich teatrzyków nie idzie tak znowu o wybór sztuk wyższéj wartości — owszem, źle one tam wychodzą najczęściéj, lecz trzebaż przecie poszanować w publiczności proste przyzwoitości uczucie — i nie wystawiać niedorzeczności, które nawet dowcipem, choćby płaskim, niezdolne są okupić swojego niefortunnego istnienia.

Jeżeli w Warszawie, w téj przeznaczonéj na upały porze, zupełnie na koncertach zbywa, za to w Paryżu, który tak długo słuchał samych tylko dźwięków wojskowéj kapeli, obecnie, przed paru tygodniami, odbył się ogromny i nadzwyczaj świetny koncert, urządzony przez panie: Thiers i Favre, na dochód mnogich ofiar ostatniéj wojny. Nie tylko jednakże sam cel sympatyczny wpłynął na tak ogromne powodzenie owego koncertu, lecz także i udział w nim najpierwszych znakomitości z artystycznego świata. Nawet perła tegoczesnych śpiewaczek, sławna Adelina Patti, śpiewała na tym koncercie!

U nas, w świecie literackim a raczéj w edytorskim tylko, panuje ciągła, nieprzerwana cisza. W księgarniach robią najczęściéj nakłady... pudełek z papierami listowymi i kopertami lub pośrednicza w sprowadzaniu romansów francuzkich i nut lipskich.—Wprawdzie p. Neuding, księgarz mniejszego znaczenia, wydał szereg kochanek Augusta II (mocnego), a pan Izaak Kramstück „Kalendarz dla Izraelitów“ na rok przyszły—lecz obadwa te nakłady nie sprawiły w literaturze żadnego wstrząśnienia. Jednakże, niebawem już, prassy drukarń poczną być w wielkim ruchu. Wiadomo nam, że niejaki p. Bałbaszewski przygotowuje już przekład historii Napoleona I, dzieło Lanfrey'a, a p. St. M. Rzętkowski, kreśli, ni mniéj ni więcéj, jak tylko „Historyę literatury polskiéj“! Mniejsza już teraz, że Wiszniewski nie dokończył swojéj...

W Petersburgu ukazało sie na widok publiczny dziełko ważne, choć niewielkie rozmiarem; książka ta pod tytułem: „Rosya i Europa“, obejmuje w sobie pogląd na cywilizacyą i politykę świata słowiańskiego, w stosunku do cywilizacyi i polityki świata Germańsko-Romańskiego.

Jedno z najpiękniejszych arcydzieł Rafaela, jego sławna Madonna *del libro*, która znajdowała się w galeryi Conestabile w Perugia, przeszła obecnie na własność N. Cesarza Wszech Rossyi, za cenę 330,000 lirów. Zapłata to ogromna, jeżeli zważymy zwłaszcza, że za Madonę Syxtyńską w galeryi drezdeńskiéj, zapłacono, prawda że w zeszłym wieku, tylko 53,000 lirów.

Δ

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 2 (14) Августа 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.